

O naszej szkole z perspektywy ucznia z lat 70. opowiada wiceburmistrz Marek, pan Dariusz Pietrucha, absolwent z roku 1979.

Swojej podstawówki nigdy się nie zapomina



Patryk Smółka: Kiedy uczęszczał Pan do naszej szkoły?

Dariusz Pietrucha: Dość dawno temu. Ruszyłem do szkoły jako pierwszoklasista 1 września 1971 roku. To była środa. Pamiętam swój pierwszy dzień w szkole. Zostaliśmy wezwani do klasy, wszyscy dość wystraszeni. Przyszła nasza pani wychowawczyni, przedstawiła się: pani Żmijewska i opowiadała, jak będą wyglądały zajęcia, ile czasu te zajęcia będą trwały, co my będziemy w tej szkole robić, itd. I padły w pewnym momencie takie mniej więcej zdania: *Trzeba pamiętać o tym,*

żeby w czasie pobytu w szkole nie być głodnym. Trzeba poprosić rodziców, żeby przygotowali kanapki i owoc, które będzie można wziąć do szkoły i zjeść na przerwie. Po tych zdaniach pani wychowawczyni jeszcze długo opowiadała, co w tej szkole będzie. Ale ja już nie słuchałem. Zastanawiałem się tylko, co ja wezmę jutro do szkoły na śniadanie. Skończyłem podstawówkę w czerwcu 1979 roku.

Patryk Smółka: Czy szkoła była w tym samym miejscu?

D.P.: Szkoła nie mieściła się w miejscu, w którym jest obecny budynek. Znajdowała się tam, gdzie obecnie stoi stary gmach przy ulicy Turystycznej, w którym aktualnie działa archiwum miejskie. Przed nim jest plenerowa siłownia. Moja szkoła to nie był jednak jeszcze ten budynek, który stoi.

Patryk Smółka: Trochę to skomplikowane.

D.P.: Rzeczywiście skomplikowane, ale potrzebne, żeby uporządkować fakty. Szkoła, do której uczęszczałem być może odpowiada rozmiarom obecnie stojącego budynku mieszczącego archiwum, ale miała inne usytuowanie. Od strony boiska, które znajdowało się w tym samym miejscu, co obecne, mieszkał kierownik szkoły, dawniej tak nazywano dyrektora. Tam mieściło się mieszkanie służbowe, coś co w dzisiejszych czasach już nie występuje. Żaden dyrektor ani nauczyciel nie mieszka dziś na terenie szkoły.

Budynek musiał być w słabym stanie technicznym, bo gdy zaczynałem naukę w trzeciej klasie, okazało się, że został czasowo zamknięty.

Patryk Smółka: Zamknięty? A co wtedy stało się z uczniami?

D.P.: Awaryjna sytuacja. Przeniesiono nas do budynku działającej wówczas szkoły zawodowej. To teren obok kościoła i przedszkola, teraz w tym miejscu mieści się baza samochodowa. Chodziliśmy tam przez około półtora roku, zanim budynek naszej szkoły nie został całkowicie odbudowany. Nie był to remont, tylko właśnie odbudowa. Zostały zrobione nowe stropy, została doprowadzona woda, co było dużą zmianą.

Oliwier Stachura: Co się znajdowało w budynku szkoły, do której wrócili uczniowie, poza salami lekcyjnymi?

D.P.: W budynku nie było sali gimnastycznej, więc jedna z sal była przeznaczona na ćwiczenia. To w niej najczęściej odbywały się lekcje wychowania fizycznego, jeśli nie dało się wyjść na zewnątrz, co najbardziej lubiliśmy. Była też biblioteka.

Oliwier Stachura: Jak wyglądało ogrzewanie i dzwonki?

D.P.: Dzwonek był tradycyjny, centralny. Jednak moje czasy szkolne, które w szkole podstawowej

przypadły na lata 70., charakteryzowały się tym, że często nie było prądu lub był tak zwany dwudziesty stopień zasilania, który też na niewiele pozwalał. Prąd był notorycznie wyłączany i wtedy pani woźna miała taki duży dzwonek, którym dzwoniła. Natomiast jeśli chodzi o ogrzewanie były piece kaflowe, w których były grzałki, od których piece kaflowe się nagrzewały.

Patryk Smółka: Czy lubił Pan chodzić do szkoły?

D.P.: Szkoła podstawowa to taki czas, w którym wiele rzeczy dzieje się po raz pierwszy. Pierwszy dzień w szkole, pierwszy wychowawca, pierwsze sukcesy, a także pierwsze porażki. To, co zdarza się po raz pierwszy bardzo długo się pamięta. Czy lubiłem chodzić do szkoły? I tak, i nie. Gdy przypominę sobie tego małego chłopca, którym wtedy byłem, ośmio-, czy dziewięcioletniego, to myślę, że nie. Nie przepadałem jakoś nadzwyczajnie za szkołą i obowiązkami związanymi z nauką. Wprawdzie chodziłem pilnie i wykonywałem obowiązki szkolne, ale raczej dlatego, że tego oczekiwali ode mnie rodzice. Lubiłem natomiast szkołę jako miejsce spotkań z kolegami i koleżankami. Aspekt bycia w grupie, nawiązywania przyjaźni, czasami ich zrywania i nawiązywania nowych, to wszystko było najważniejsze i to pochłaniało mnie bardzo. Zresztą, każdy uczeń zna ten stan. Niby nie lubi szkoły, bo są klasówki, kartkówki, pani odpytuje przy tablicy, ale w wakacje to się jednak okazuje, że za szkołą się tęskni i chce się wrócić. Jedni po to, żeby odświeżać kontakty towarzyskie, drudzy, żeby można było dalej się uczyć, a jeszcze inni z obu powodów.

Tomasz Czochrowski: Jakim był Pan uczniem?

D.P.: Można powiedzieć, że w szkole podstawowej mieściłem się w górnej strefie stanów średnich. A tak na poważnie, to byłem mocno czwórkowym uczniem. Byłem dość techniczny, jednak w szkole lepiej radziłem sobie z przedmiotami humanistycznymi, na matematykę musiałem poświęcać więcej czasu, chemia nie była moją mocną stroną. Trójki oczywiście też się zdarzały. Czasem wpadała do dziennika też dwójka, choć na szczęście nieczęsto. Średnia wychodziła na czwórkę.

Patryk Smółka: Czy miał Pan ulubionych nauczycieli?

D.P.: Pierwszą moją wychowawczynią była pani Żmijewska, która po wyjściu za mąż nosiła nazwisko Białczak, w trzeciej pani Forysiak. Klasa czwarta i piąta - pan Antoni Modzelewski, od szóstej do ósmej pani Wiesława Antosiewicz. Na pewno osobami, które wspominam są: pani Antosiewicz, która uczyła języka polskiego, pani Strzemieczna – od matematyki, pan Lange, nauczyciel biologii i wychowania fizycznego i pani Waś, ucząca historii i wychowania obywatelskiego. Ja od zawsze zajmowałem się rzeczami technicznymi, ukończyłem techniczną szkołę średnią, ale w głębi duszy jestem humanistą. Zawsze interesowały mnie: język polski, literatura i historia. Myślę, że chęć czytania, poznawania świata, wiecznego doskonalenia się, a także udoskonalania umiejętności pisania to zasługa mojej polonistki, pani Antosiewicz. Najmocniej ją wspominam i widzę jej wpływ na moją osobę.

Tomasz Czochrowski: Jakie przedmioty nauczane w szkole lubił Pan najbardziej?

D.P.: W podstawówce nie miałem ulubionych przedmiotów. Jedne nie sprawiały mi problemu, nad innymi, jak matematyka i chemia, musiałem dłużej przysiąść. Jednak uczyłem się wszystkiego i tak to szło. Tak naprawdę podział na przedmioty, które lubię i których nie lubię, pojawił się u mnie dopiero w szkole średniej.

Tomasz Czochrowski: Jakich języków obcych uczono w szkole?

D.P.: W szkole podstawowej w latach 70. i w szkole średniej w latach 80. obowiązkowym językiem był język rosyjski. Drugiego języka nie było. Na własną rękę zacząłem uczyć się niemieckiego, ale to były kursy i zajęcia w prywatnych szkołach językowych, na które chodziłem już poza obowiązkowymi zajęciami szkolnymi.

Tomasz Czochrowski: Jak wyglądały lekcje wychowania fizycznego i gdzie się odbywały?

D.P.: Za każdym razem, kiedy przyjeżdżam do szkoły i parkuję samochód na parkingu na terenie Orlika, patrzę z zachwytem na boisko, jakie macie. I zawsze przypominam sobie nasze! Chyba nawet nie jestem w stanie opisać, jak wyglądało to nasze boisko. Po pierwsze mielibyście wątpliwości, że mówię prawdę. Po drugie nawet nie umiałbym znaleźć słów, które by to nasze boisko właściwie opisywały. Ale spróbuję... Boisko mieściło się na tym terenie, na którym jest także w tej chwili. To nasze boisko to nawet nie była wykoszona łąka, to nie był ubity grunt, to była po prostu jedna, wielka

powierzchnia sypkiego piachu. Próbowano to utwardzać – szkoła, rodzice, dzieciaki na własną rękę, ale nic z tego. Boisko było piaskowe, ponieważ powstało na wydmie, więc o utwardzeniu nie mogło być mowy. Piach nam się sypał do butów. Trudno było grać w cokolwiek. Groza. Sala gimnastyczna? Też nie było. Była jedna sala w szkole, nieco większa od pozostałych, na rogu Turystycznej i Wczasowej, przeznaczona także na lekcje wf-u, gimnastykę. Czasami udawało nam się namówić pana, żebyśmy mogli pograć w piłkę ręczną i wtedy bramkami były materace przystawione do ściany. Tam się też odbywały SKS-y, na które chodziłem. Warunki wtedy były, mówiąc delikatnie, bardzo skromne, nawet w porównaniu z innymi szkołami w Markach.

Patryk Smółka: Czy miał Pan zadawanych dużo prac domowych? Który nauczyciel zadawał najwięcej?

D.P.: Czasy, w których się uczyłem, musicie uwierzyć na słowo, były zupełnie inne. Żyliśmy w zupełnie nieporównywalnych do dzisiejszych warunkach. Postrzeganie szkoły oraz nauczycieli przez środowisko uczniów i rodziców także było inne. Czemu to podkreślam? Bo bez tego trudno będzie zrozumieć moją odpowiedź na to pytanie. W moich czasach nikt się nie zastanawiał, czy ma zadane mało, czy dużo. Jeżeli nauczyciel z konkretnego przedmiotu uznał, że tyle wiedzy musimy zdobyć i tyle się nauczyć, także w domu, to nawet jeśli niechętnie, dźwigaliśmy ten bagaż bez protestu. Z przeświadczeniem, że nic się nie da zrobić. Na pomoc ze strony rodziców też nie można było liczyć. Uważali, że jeżeli w szkole tyle

zadano, to tyle trzeba zrobić. Tak to wyglądało. Dzisiaj ilość kartkówek, klasówek, ilość materiału w tygodniu można regulować, żeby nie było za ciężko, żeby pomiędzy obowiązkami można było znaleźć chwilę dla siebie.

Oliwier Stachura: Jak wyglądał system kar?

D.P.: Nie wiem, czy mogę o tym mówić, bo historie mogą mrozić krew w żyłach współczesnych uczniów. System kar wyglądał zupełnie inaczej niż współcześnie. I to nie tylko w szkole, ale i w domu. Ja jestem z pokolenia, które doświadczało jeszcze kar, także cielesnych. To były kary zależne od wagi przewinienia delikwenta: począwszy od postawienia do kąta po uderzenie drewnianym piórnikiem lub drewnianą linijką w dłoń. Ale też były takie kary, że uczeń musiał klęczeć w kącie. Zawsze nauczyciel odwoływał karę. Taki system był akceptowany przez rodziców. Z perspektywy ucznia – myślę, że u was jest podobnie – oczywiście każda kara była niesłuszną, nie należała się, bo to się „samo zrobiło”, niechcący albo przez kolegę. Ważne było jeszcze jedno. Kiedy rodzice wracali z wywiadówki i okazywało się, że coś nabroiliśmy, to nie pytali, czy to prawda i czy faktycznie coś zrobiliśmy. Pytali tylko dlaczego. Rodzice uważali, że jeśli to jest przekaz od nauczyciela, to już nie trzeba większej rekomendacji i wiadomo, że to o czym mowa faktycznie się stało. I w domu po wywiadówce, gdy coś się zmalowało, dostawało się lanie.

Oliwier Stachura: Nie chciałbym tak. Czyli nauczyciele w latach 70. byli bardzo surowi, wymagający i budzili respekt?

D.P.: Zdecydowanie. Nauczyciele byli surowi. Jedni budzili respekt swoją pozycją, sprawiedliwością i uczciwością w ocenianiu. Za moich czasów sprawiedliwość w ocenianiu to była chyba jedna z najwyższej notowanych cech na uczniowskiej giełdzie oceniania nauczyciela. Byli też tacy, którzy też budzili respekt, ale nie z powodu autorytetu, ale dlatego, że czasami zbyt emocjonalnie reagowali na różnego rodzaju rzeczy i przechodzili do wymierzania kar cielesnych, o których opowiadałem. U nas największy respekt budziła polonistka, pani Antosiewicz. U niej nie można było się czegoś nie nauczyć, prześlizgnąć. Nawet jeśli raz się udało, to za chwilę, gdy się okazało, że człowiek nie umie, dostawało się dwie dwójki (jedynek i szóstek wówczas nie było). Patrząc z perspektywy czasu, to właśnie pani Antosiewicz nauczyła mnie najwięcej. Pamiętam, że raz w tygodniu były zajęcia z gramatyki. Świetnie prowadzone. Nie mieliśmy najmniejszych problemów z rozbiorem zdania, z określaniem części zdania, części mowy. Gdy poszedłem do szkoły średniej, to umiałem to najlepiej w całej klasie.

Oliwier Stachura: A jak nagradzano ucznia?

D.P.: Jeśli chodzi o nagrody, myślę, że tu niewiele się zmieniło. Największą nagrodą za naukę i wzorowe zachowanie było jak dziś świadectwo z białą-czerwonym paskiem, nagroda książkowa. Z czasem pojawiły się także czerwone tarcze z napisem: *Wzorowy uczeń*, ale od kiedy dokładnie, nie pamiętam. Były wszelkiego rodzaju wyróżnienia za wybitne osiągnięcia w nauce oraz w sporcie. Bardzo mocno były wyróżniane także działania obywatelskie, gdy np. grupa dzieci

wspierała starszą osobę. Takie zachowania były chwalone i na forum szkoły, na apelach nazwiska takich osób wyczytywano.

Oliwier Stachura: Kto był dyrektorem szkoły, gdy Pan do niej chodził? Czy szkoła miała patrona i hymn?

D.P.: Szkoła, do której ja uczęszczałem nie miała patrona i nie miała hymnu. Pierwszym kierownikiem, bo wtedy to był kierownik, był - jeśli nie przekręciłem nazwiska - pan Jędrzejczyk. Później, z tego co pamiętam, dyrektorem szkoły była pani Maria Bieńkowska. To była wieloletnia nauczycielka naszej szkoły i wieloletnia później dyrektor. Kończyłem ósmą klasę w 1979 roku i pani Maria Bieńkowska wciąż była dyrektorem szkoły.

Oliwier Stachura: Jakie wycieczki najlepiej Pan wspomina?

D.P.: Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie wycieczek. Poza wyjazdami do teatru, do kina nie przypominam sobie, żeby były organizowane.

Tomasz Czochrowski: Co uczeń w latach 70. miał w plecaku?

D.P.: Myślę, że nosiliśmy pewnie to samo, co wy teraz, czyli książki, atlasy, ćwiczenia, zeszyty, piórniki, drugie śniadanie. I jeszcze worek z kapciami, zwanymi juniorkami.

Tomasz Czochrowski: Czym się różniły te rzeczy od tych, które mamy dzisiaj?

D.P.: Przede wszystkim kolorami i dostępnością. Poza tym wiele rzeczy musieliśmy przygotowywać sobie sami. Na przykład od czwartej klasy, kiedy

potrzebne były zeszyty z marginesami, marginesy trzeba było narysować samemu. Odmierzało się 2,5 cm (ani mniej, ani więcej), wbijało cyrkiel albo szpilkę na górze i na dole strony, żeby powielić, łączyło oba punkty linijką i margines gotowy. Tak przez 60 albo 80 kartek. Żmudna robota. Dzisiaj nikomu z was do głowy by nie przyszło, że marginesy robi się samemu. Zeszyt musiał być podpisany, obłożony, książki tak samo. Myślę, że dzisiaj bardziej swobodnie do takich rzeczy się podchodzi.

Tomasz Czochrowski: A zawartość piórnika. Czy uczeń miał w tamtych czasach coś w piórniku, czego aktualnie już się nie używa albo czy teraz mamy w piórniku lub w plecaku coś, czego za Pana czasów nie było?

D.P.: Przychodzą mi na myśl kalkulatory. Wy je macie w telefonie, w zegarku, czy jako osobne urządzenie. Ja jestem z pokolenia, które świetnie liczyło pod kreską, w szkole średniej korzystało z suwaka logarytmicznego. Słyszeliście kiedyś o czymś podobnym? Sprawdźcie, co to za cudo w internecie. Gwarantuję, że działa sprawnie i jeszcze dzisiaj parę rzeczy byłbym na tym suwaku w stanie policzyć. W szkole podstawowej była bardzo mocno ćwiczona pamięć. Począwszy od tabliczki mnożenia, a skończywszy na liczeniu pod kreską, mnożenia pod kreską, dzielenia pod kreską. W moim wypadku poskutkowało to tym, że naprawdę sprawnie liczę. Jeszcze dzisiaj, zanim ktoś wyciągnie kalkulator i wbije odpowiednie cyfry, to jestem w stanie czasami szybciej policzyć w pamięci. To jest efekt tamtej edukacji. Oczywiście macie jeszcze w plecaku smartfony, o których nam się nawet nie śniło.

Tomasz Czochrowski: Czy w tamtych czasach pisało się wiecznym piórem?

D.P.: To też będzie opowieść, jak z baśni. Kiedy przyszedłem do pierwszej klasy, to pisaliśmy wyłącznie ołówkami. Właściwie przez pierwsze pół roku nie pisaliśmy liter, tylko ćwiczyliśmy ręce, rysując jakieś muszelki, zwoje, różnego typu szlaczki. Wszystko po to, by pisać później przez nas litery były ładne i staranne. W drugim półroczu pisaliśmy piórem ze stalówką. Nasze ławki zupełnie inaczej wyglądały. Były dwuosobowe, zielone, miały pochylone blaty, były połączone z ławką do siedzenia. Na środku blatu była duża dziura, w której stał kałamarz, czyli buteleczka na atrament. Pani codziennie przychodziła do klasy z wielką butlą atramentu. Wlewała atrament każdemu, komu brakowało. Należało też ten kałamarz sprawdzić przed rozpoczęciem pracy. Czasami dowcipnisie wrzucali tam bibułę. Nie mówię tutaj o nielegalnie wydawanej gazecie, którą w komunizmie tak się nazywało, ale o kartce pochłaniającej nadmiar atramentu. Ponieważ pisało się piórem ze stalówką moczoną w atramencie, to każdy zeszyt miał taką bardzo chłonną kartkę, to właśnie nazywało się bibułą. Jak się kończyło pisać, kładło się tę kartkę, żeby wchłonęła nadmiar atramentu, żeby nic się nie rozmazało. Ponieważ bibuła „spijała” atrament, żartownisie wrzucali ją do kałamarza i w środku robił się korek. Należało się wystrzegać takiego korka. Jak był to, usuwając go, można się było porządnie pobrudzić, a atrament bardzo trudno się spierał. Gdy uczeń wprawił się w pisanie piórem ze stalówką zanurzaną w atramencie, mógł zacząć pisać piórem wiecznym. Najładniej piszący osiągalni to w drugim półroczu drugiej klasy.

Dopiero następnym, ostatnim etapem było pisanie długopisem pod koniec klasy trzeciej.

Tomasz Czochrowski: A jak wyglądał uczeń naszej szkoły w latach 70.?

D.P.: Wyglądaliśmy dość jednolicie. Chodziliśmy w ciemnogrnatowych fartuchach. W klasach jeden-trzy dla chłopców były takie fartuszki do bioder, długości bluzy, z białym kołnierzykiem. Fartuszki dziewczyn były dłuższe, też z kołnierzykiem. Kołnierzyk był odpinany, prasowany, prany przez mamusię i musiał być czysty. Później przyszedł czas, gdzieś od połowy lat 70., kiedy weszły nowe fartuchy, różnokolorowe: niebieskie, bordowe, zielone. Zrobiło się dużo bardziej kolorowo w szkole. Preferowane były niebieskie i bordowe z tego, co pamiętam. Zielone nie uchodziły za fajne. Tylko frustraci zakładali zielone fartuchy albo jak już nie można było nic w sklepach kupić, a mama trafiła, kupiła i kazała chodzić niewzruszona tym, że to niemodne. Prawda jest taka, że żyliśmy w czasach bardzo dużego niedoboru. Kupienie kapci na zmianę, czyli butów, które nazywaliśmy potocznie juniorkami, graniczyło z cudem, szczególnie przed rozpoczęciem roku szkolnego. Kupienie fartucha i innych rzeczy, już nie mówiąc o kurtce, zwykłych butach, też wiązało się z ogromnym wysiłkiem rodziców i ich zapobiegliwością. Takie czasy.

Filip Czochrowski: Jakie ma pan najciekawsze wspomnienia ze szkoły?

D.P.: Najciekawsze wspomnienia to te, które często odżywają, kiedy się spotykamy w gronie absolwentów naszej szkoły, czyli anegdoty o nauczycielach, koleżankach i kolegach.

Mnóstwo śmiechu. Świat, w którym żyliśmy wyglądał inaczej, inna była polityczna rzeczywistość, inne obyczaje. Rozrywki też były inne i było ich zdecydowanie mniej. Do Marek przyjeżdżało kino objazdowe i to było duże wydarzenie! Ale do czego zmierzam? Wszyscy byliśmy głodni tego, żeby się wybiegać, grać, uprawiać sporty. Mnóstwo czasu spędzaliśmy na zewnątrz. Urodziłem się i wychowałem w Markach-Strudze, i kiedy spaceruję po mieście, czy przejeżdżam przez nie, w miejscach zabudowanych widzę te przestrzenie, gdzie graliśmy w piłkę i przesiadywaliśmy, robiliśmy jakieś bazy, ciągle w coś się bawiliśmy. Było takich miejsc mnóstwo. Wystarczyło wyjść ze szkoły i złapać cztery teczki czy plecaki, żeby zrobić bramkę. I już się grało! Zanim się doszło do domu po szkole zawsze spędzało się czas z innymi. Oczywiście, jeśli ze szkoły się wracało za późno, to należało się liczyć z rodzicielską burą, ale... warto było podejmować ryzyko. Z rozgrywek szkolnych też najbardziej wspominam wspólne zajęcia sportowe, choć boisko, jak już mówiłem było marne, a sali gimnastycznej nie było. Wspaniale wspominam też zimy. Staw przy Weneckiej zamarał na kamień, bo zimy były solidne, zamrożony staw nieopodał miejsca, gdzie mieszkam, a który teraz jest własnością prywatną, też był miejscem spotkań. Życie zimą tętniło w tych miejscach – jeździliśmy na łyżwach, graliśmy w hokeja. Robiliśmy też własne lodowiska, o które sami dbaliśmy. Trzeba je było wylać, odśnieżać. Czasem odśnieżanie trwało dłużej niż jazda, bo robiło się ciemno i trzeba było wracać do domu. Ale warto było!

Filip Czochrowski: Na rozpoczęciu roku w naszej szkole we wrześniu ubiegłego roku wspominał Pan jazdę na sankach obok szkoły.

D.P.: Wyjścia na sanki też były wspaniałe. Dzieliły się na szkolne i prywatne wypady. Po tegorocznym rozpoczęciu roku szkolnego, poszedłem specjalnie zobaczyć, jak wygląda teraz górką saneczkową, z której zjeżdżaliśmy zimą w ramach zajęć szkolnych. Bo to górką na tyłach szkoły. Ona była najślabsza w okolicy, ale ze względów bezpieczeństwa tam nas zabierano, choć nie każdy nauczyciel dawał się na to namówić. Była dość długa, ale wypłaszczona i mało kto chciał po niej jeździć, no bo nie było żadnej adrenaliny, przygody, taka górką, z której mogą sobie pojeżdżać dzieci. No ale my, wówczas faceci żądni przygód i niebezpieczeństw, już po zajęciach szkolnych chodziliśmy na inną górką, nieopodał. Dziś nie przypomina stanu z naszych czasów. Górką była bardzo stroma, na końcu była jeszcze skocznia, więc na sankach zjeżdżało się metodą z górką na pazurki, ale jeszcze lepiej zjeżdżało się na butach. Bardzo pilnowaliśmy, żeby nasze mamy kupowały nam tak zwane *buty narciarki*, czyli takie, do których dało się przypiąć narty biegowe. Takie buty były towarem deficytowym. Szczęśliwy posiadacz robił wszystko, żeby ząbki, które były na podeszwie wytrzeć tak, żeby była idealnie gładka i śliska. Później próbowaliśmy nart, ale górką była na nie za niska. Na tę górką po szkole przychodziło zimą kilkadziesiąt osób. Oprócz nas ze szkoły przychodzili także chłopcy z zakładu opiekuńczo-wychowawczego prowadzonego przez księży Michalitów po sąsiedzku. Trzeba było dobrze pilnować swojej kolejki.

Filip Czochrowski: Czy utrzymuje pan kontakt z nauczycielami z naszej szkoły lub z kolegami i koleżankami z czasów szkolnych?

D.P.: Z nauczycielami to niestety niemal niemożliwe. Z tego, co się orientuję większość moich nauczycieli ze szkoły podstawowej już nie żyje. Natomiast z koleżankami i kolegami z czasów szkolnych widujemy się często. Mieszkam w Markach przez całe życie, wiele osób ze szkoły też tu zostało, a te które wyjechały, wpadają z wizytą do bliskich, więc okazji nie brakuje. Widzimy się w różnych miejscach w mieście: w urzędzie, w kościele, na miejskich imprezach, ale też bardziej prywatnie. Poza tym często kontakty z czasów szkolnych zacieśniały się powtórnie, bo nasze dzieci później chodziły do jednej klasy w naszej szkole. Jestem też aktywny w mediach społecznościowych, ku zgrozie moich córek, i tam okazji do kontaktu też nie brakuje.

Filip Czochrowski: A czego nauczył się pan w szkole, co przydało się Panu w późniejszym życiu?

D.P.: Wielu rzeczy, chyba trzeba je pogrupować. Jednak najważniejsze z nich to, że szukam rozwiązań moich problemów, zawsze sam w pierwszej kolejności próbuję poradzić sobie z problemem, staram się być też samodzielny w podejmowanych działaniach. Zawsze tak miałem, że zanim poszedłem z jakimś kłopotem do kogoś, kto w mojej ocenie był w stanie pomóc, to za wszelką cenę zawsze próbowałem samodzielnie sobie poradzić albo przynajmniej wiedzieć w czym inni mogliby mi pomóc. Po drugie zdobyłem wiedzę, dzięki której też mogłem podejmować decyzję o tym, czego chcę od siebie

i życia. Okazało się, że w podstawówce dzięki polonistce przekonałem się, że lubię pisać. Później w szkole średniej też miałem wspaniałą polonistkę, dzięki której zdobyłem naprawdę dużą w swojej ocenie wiedzę i umiejętności. Postanowiłem rozwijać to na studiach dziennikarskich. Gdy jako dorosły już człowiek działem w Mareckim Stowarzyszeniu Gospodarczym, wydawaliśmy gazetę, w której powstawaniu aktywnie uczestniczyłem, będąc redaktorem naczelnym i pisząc artykuły. Teraz od wielu lat jestem wiceburmistrzem Marek i umiejętność starannego mówienia i precyzowania swoich myśli oraz tworzenia różnych tekstów też bardzo mi się na tym stanowisku przydaje. Bez szkoły to wszystko by się nie wydarzyło.

Tomasz Czochrowski: Tęskni Pan za szkołą i szkolnymi czasami?

D.P.: Oczywiście, jak każdy chyba dorosły człowiek. Tęsknię za dziecięcą beztroską. Wtedy nawet sobie nie uświadamiałem tej beztroski. Dzisiaj widzę ją bardzo dobrze. Rodzice, nauczyciele ciągle nas przywoływali do porządku, mobilizowali do różnych działań. A my z natury rzeczy, pożytkowaliśmy masę energii na to, żeby się gdzieś wymknąć, wykręcić od obowiązków, które zawsze były. Koniec końców trzeba było wywiązać się z tych obowiązków, ale próby wyslizgnięcia się, odłożenia na później były podejmowane i towarzyszyła temu fantazja. Dziecięca beztroska jest wspaniała i trzeba z niej korzystać, póki można. Tej beztroski z czasów podstawówki nigdy się nie zapomina.

Patryk Smółka, Oliwier Stachura, Filip Czochrowski, Tomasz Czochrowski: Dziękujemy za rozmowę!

D.P.: Dziękuję bardzo. To była przyjemność.